

## Rozdział 2

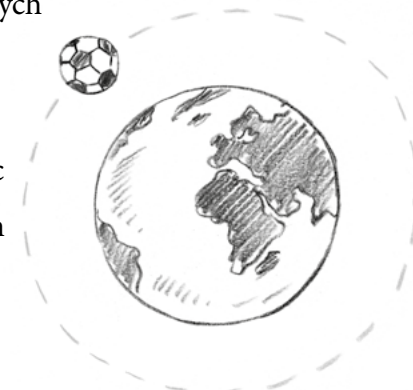
# Pierwszy mecz

Bycie piłkarzem to wielka frajda dla każdego chyba mężczyzny – i małego, i dużego. Wiedzą o tym miliony zawodników, grających w większych lub mniejszych ligach całego świata. Od wschodnich krańców Azji po zachodni brzeg obu Ameryk, od Bieguna Północnego do Bieguna Południowego... No tu może trochę przesadziliśmy, bo kto by chciał grać w piłkę przy 40-stopniowym mrozie? Chociaż kto wie, czy przypadkiem badający śnieżne krainy naukowcy w wolnej chwili nie organizują sobie futbolowego meczu? A już na pewno na futbolową gorączkę zapadli mieszkańcy nieco mniej lodowatych regionów – Grenlandii, a nawet Laponii. Mają oni nawet swoje reprezentacje narodowe.

Prawda jest taka, że w piłkę grają wszyscy – mieszkańcy wielkich kontynentów i miniaturowych wysp, najpotężniejszych

krajów i malutkich państweczek, dużych miast i najmniejszych nawet wsi.

Dla futbolu głowy tracą mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, co tu więc mówić o małych chłopcach, którym ojcowie już od kołyski udowadniają, że piłka nożna to ósmy cud świata.



Mieszko, oczywiście, też w to wierzył święcie, a jego i taty piłkarskie szaleństwo potęgowało się z każdym dniem, odkąd nasz bohater pojawił się w drużynie Czarnych Pum. Gdy kończył się trening, Mieszko pytał, kiedy następny. Gdy słyszał głos telewizyjnego komentatora, od razu przybiegał sprawdzić, jaki mecz jest transmitowany. Gdy kolega dostawał nową koszulkę piłkarską, nudził rodziców, aż ich bolały głowy, że on też musi taką mieć. Do tego dochodziły jeszcze marzenia



i sny. W małej głowie rozgrywały się najróżniejsze mistrzostwa i turnieje, których bohaterem był – jak się domyślicie – zawsze Mieszko. Wspaniałe gole w ostatnich minutach, niesamowite akcje przez całe boisko, obronione rzuty karne, złote medale i olbrzymie puchary. Lista imponująca, ale w rzeczywistości niezwykle trudna do zrealizowania.

Trudna?... Ktoś, kto tak mówi, na pewno nie zna jeszcze Mieszka. Bo chłopak potrafił zawziąć się jak nikt. Fakt, dopingował go do tego Da-

wid, który – jeśli chodzi o poziom gry – wciąż deptał mu po piętach. Dzięki temu na zajęciach przyjaciele nigdy nie próżnowali i przykładowo uczyli się, jak należy ustawić stopę przy podaniach i jak odpowiednio prowadzić piłkę. A gdy wracali do domu, powtarzali wszystko do znudzenia. W pokoju Mieszka o rozmiarze dwa na cztery metry, w którym



połowę miejsca zabierały meble, prawie bez problemu udało się wcisnąć cztery pacholki i bramkę. A to już wystarczało, by móc po kilkadziesiąt razy dziennie zrobić każde ćwiczenie zalecone przez trenera Figińskiego.

– Marcin, on chyba zwariował. Przecież nie można ćwiczyć codziennie tego samego przez tyle godzin! – złościła się mama w rozmowach z mężem.

– Ależ uwierz, Beatko, że można. A z reguły i tak jest jeszcze za mało – tłumaczył pasję syna Miśkiewicz.

Jednak mamę trudno było przekonać. Tym bardziej, jeśli Mieszko podczas jednej zabawy wcielał się w kilka piłkarskich ról. Był jednocześnie trenerem, bramkarzem, pomocnikiem i napastnikiem. Gdy zachodziła potrzeba, zostawał też sędzią, kibicem lub lekarzem. „Nic ci się nie stało? Boli? Tylko trochę?... To możesz grać” – naśladował klubowego doktora. A po chwili odpowiadała zmienionym głosem kontuzjowanego piłkarza: „Nic mi nie będzie. Jakoś wytrzymam, tylko niech pan mi tu trochę rozmasuje”.

Zabawy w futbol pozwalały na bycie najlepszym na niby, ale już w dwa miesiące po rozpoczęciu treningów Mieszko miał

możliwość spełnienia marzeń. Trener wyznaczył go do zespołu, który miał wziąć udział w pierwszym prawdziwym meczu. Nie w zwykłej rozgrzewce treningowej Zieloni na Pomarańczowych. To miał być mecz z chłopakami z innego miasta. Na przeciwnika Czarnych Pum trener Figiński wybrał ekipę Królewskich.

W głowie Mieszka natychmiast się zakotłowało. „Ciekawe, na jakiej pozycji zagram? Pewnie strzelę gola!... A może będę tylko rezerwowym i trener nie wpuści mnie na boisko?... Wejdę dopiero w ostatniej minucie, okiwaam wszystkich i zdobędę zwycięską bramkę”.

– Hej, Mieszko, jakby co, to obiecuj, że mi pomożesz. Tak jak ja pomogę tobie, zawsze i wszędzie, zgadzasz się? – zaproponował Dawid.

W dzień meczu, mniej więcej na dwie godziny przed jego rozpoczęciem, futbolowa gorączka i marzenia o sławie sięgnęły szczytu. Mieszko był tak przejęty, że kilkakrotnie pytał o to samo:

- Mamo, a zaprosiłaś babcię Basię?
- Przecież już ci mówiłam, że tak – odpowiadała mama, która również strasznie denerwowała się meczem syna.

– A babcię Marysię i dziadka Wieśka? – nie dawał spokoju Mieszko.

– Tak, i ciocię Olę, i wuja Mariusza, i Agnieszkę, Sławka i Kornela – wyliczała mama.

– A ty będziesz?

– Jak bym mogła nie być, synku?! Przecież to twój pierwszy mecz.

– Wiem, ale chciałem się upewnić. A tata zdąży?

– Tata obiecał, że zwolni się z pracy i przyjedzie taksówką tuż przed meczem.

– To dobrze, bo musi to obejrzeć. Gramy przecież z... Z kim to gramy, mamo?

– Z Królewskimi... – odpowiedziała mama na granicy cierpliwości. Tata oczywiście na mecz zdążył. Przyszła również cała rodzina. Wuj Mariusz zrobił nawet transparent: „Mieszko, gola!”. Mieszko, co prawda, z boiska niezbyt dobrze widział, ale domyślał się, co tam jest napisane. Niestety, nie mógł podbiec do rodziny, bo zaczęła się przedmeczowa odprawa.

– Spokój! Cisza! – przywołał drużynę do porządku trener. – Na bramce gra Antek, w obronie Tomek i Franek.

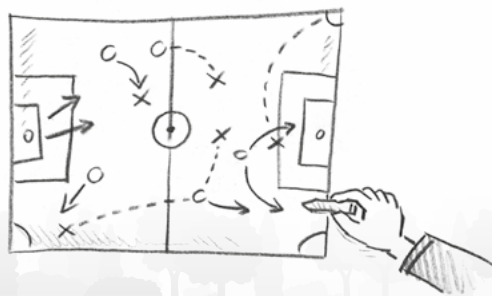
Tylko macie pilnować, żeby nie strzelili nam gola! U nich najlepszy jest Kazik, ten z numerem osiem, nie wolno wam zostawić go ani na sekundę – wyjaśniał małym piłkarzom trener Figiński.

– A ja?! A ja?! – wołali niewymienieni zawodnicy, w tym oczywiście i Mieszko.

– Cisza, jeszcze raz mówię: cisza! – trener próbował uspokoić rozwrzeszczaną grupę. – Podaję dalej skład. W pomocy zagrają Filip, Mikołaj i Mieszko, a w ataku Kuba.

– A tata mi mówił, że gra się po jedenastu – zaskoczył trenera Robert, który niezłe ganiał za piłką, ale dopiero rozpoczynał treningi, więc nie wiedział, że młodziaki grają na małych boiskach, mniejszymi piłkami i w zaledwie siedmioosobowych zespołach.

Po wszelkich wyjaśnieniach – jak najlepiej podawać piłkę, kto wybija rzut różny, a kto rzut wolny i karny, po prezentacji sędziów i obu drużyn na płycie boiska rozpoczął się mecz.



Drużyna Mieszka grała w białych koszulkach i zielonych spodenkach, rywale mieli czerwone koszulki i czarne spodenki. Na początku spotkania zdecydowanie lepiej spisywali się Królewscy, a już najlepszy był Kazik, który strzelił Czarnym Pumom dwa gole, niemalże jeden po drugim. Przy pierwszym wykazał się nie lada sprytem, bowiem zdobył go **uderzeniem z dużego palca**. Drugi gol był już prawdziwym majstersztykiem – piłka po strzale Kazika trafiła w samo **okienko** bramki Czarnych Pum.

– Masakra... – jęknął Mieszko.

– Chłopaki, gramy, dacie radę, nie martwcie się! – wołał do drużyny zdenerwowany trener Figiński, dla którego, podobnie jak dla chłopców, był to pierwszy mecz w życiu – z tą różnicą, że w roli trenera. – Filip, podawaj! Franek, co ty robisz?! Wybij i do przodu! – Trener nie poddawał się.



ZAJRZYJ  
NA KONIEC  
ROZDZIAŁU